

665 „Balladyny” walka z widownią

BARDZO przydatny wydaje mi się zaraz na wstępie cytat z Jerzego Adamskiego: *Krytyk teatralny musi być najpierw zwykłym widzem, na takich samych prawach jak inni (...). Na takich samych prawach, lecz ze świadomością podwójną: podwójną o krytyczną, czujną, fachową obserwację wszystkich elementów zdarzenia: siebie samego, widowni, sceny. (...) Społeczną bowiem funkcją krytyki teatralnej jest utrwalanie owej wspólnoty jednego wieczoru, która się wytworzyła między widownią i sceną.*

Poszedłem na przedstawienie „Balladyny” w krakowskim Teatrze im. Słowackiego i po kilku minutach uczestniczenia we „wspólnocie jednego wieczoru” ze złością uświadomi-

miłem sobie, że nic z tego, o czym pisze Adamski, nie istnieje tego wieczoru w teatrze, ani jeden z elementów, zatem ani jedno z wymagań stawianych recenzentowi nie może być spełnione. A przedstawienie się odbyło, widownia była wypełniona, jak rzadko kiedy. Więc co się stało?

To nie była premiera prasowa, i nie żałowałem, że nie mogłem być wcześniej obecny wśród publiczności premierowej, bo nie jest ona najprzyjemniejsza. Lecz to, co mnie spotkało w kilka dni po premierze, było ciężką karą, cięższą tym bardziej, że wymierzona przez istoty wzbudzające na ogół czułość i miłość, to znaczy przez dzieci, ściśle — przez ich tłumną i gwałną obec-

ność. Parter, loże, balkony — wszędzie dzieci szkolne. Dorosłych osób może kilkanaście. Młody żywioł zdominował natychmiast to, co działo się w teatrze i nie ucichł aż do końca. Szumiało nieustannie szeptem i śmiechem, szeleściło papierami po kanapkach i cukierkach, postukiwało butelkami z orazadą. Zdarzyły się powrzaskiwania i partykularne bitki. Tak naprawdę to tę widownię nie interesowała akcja na scenie, ponieważ została spędzona do teatru celem wypełnienia programu wycieczki do Krakowa, a że takich wycieczek zbiegło się akurat tego wieczoru parę, to tym weselej było, i miało być dobrze, bo wszystkie miejsca zajęte. Te dzieci reagowały tylko na uciśnięcie okrzyki Grabca. Cała reszta nie docierała, nudna dla nich i obca. Cóż dziwnego, że bawili się po swojemu, aby się nie zanudzić. Grupa starszych co chwila posykiwała i łapała się za głowę. Ktoś tam wyszedł, bo nie wytrzymał.

Aktorzy najpierw próbowali pokonać dziecięcą tłumę i uczynić zeń przyjaznego partnera w teatralnej interakcji, ale wnet zrezygnowali, czując, że nie dadzą rady. Postanowili więc, wierni instynktowi aktor-skiemu, zwyciężyć własną słabość i dograć rzecz do końca. Męczli się,

czekali cierpliwie na uciśnienie, a potem już z całą determinacją szli do przodu. Wspaniale dotrwali. Piorun uderzający w Balladynę przyjęto z ulgą po obu stronach rampy.

Nie było żadnej „wspólnoty jednego wieczoru”. Było bezsensowne przemaganie się, było targanie nerwów. Ekstremalny przykład jak być nie powinno. Dla kogo zysk? Pewnie wszyscy odnotują ten wieczór w radosnej statystyce. Co dzieci będą z tego mieć, co aktorzy? Kto odpowie za ten wyczyn gwałcącej istoty kultury, wydrwiwającego wymagania sztuki? Na pomoc! Ludzie, opamiętajcie się!

Jestem pewien, że spektakl został wypaczony, popsuty, że w normalnych warunkach miałby kształt inny, pełniejszy, brzmiały inaczej.

A jest w tym przedstawieniu kilka rzeczy godnych uwagi: pomysł inscenizacyjny, muzyka, scenografia. Pomysł został zapożyczony od Krystyny Meissner, która przed paru laty wystawiła w toruńskim Teatrze im. Horzycy „Balladynę” w konwencji balladowej, czerpiąc inspirację z balladowego właśnie charakteru dramatu. Jerzy Wróblewski, reżyser krakowskiego przedstawienia, wprowadził do toruńskiego inscenizacji pewne modyfikacje, jak choćby za-

mykając spektakl Epilogiem, czego tam brakowało. Zasadnicze kontury inscenizacyjne zostały. Aktorzy pojawiają się na skośnie przechodzącej przez scenę drodze, urozmaiconej mostkiem i skrzyżowanej ze strumykiem — i jako współcześni Słowackiemu emigranci (w Toruniu lud) rozpoczynają opowiadanie tragicznej historii, śpiewając „Maliny” Aleksandra Chodźki. Postacie dramatu pozostają na scenie, lecz od czasu do czasu „emigranci” wychodzą, podejmują motyw „Malin”, niektórzy także włączają się do akcji. Owszem wygląda to ładnie, ciekawie, wyrasta z atmosfery utworu, ale czy wnosi coś rewelacyjnego do sensu całości? Czy wzmacnia wymowę tragicznej przypowieści? Czy bez scenografii przypominającej balladowy szlak emigracyjno-przyjrzymkowy, bez muzyki i chóralnego śpiewu, bez balladowych ram — „Balladyna” nie ma dość dramatycznej siły? Czy nie lepiej by było skupić się na samej nagiej, wewnętrznej akcji i jej postaciach? Materii dramatycznej, przesłań i obrazów jest tu taka moc, że opowieść o potrzebie ładu moralnego i głodzie sprawiedliwości, o zbrodni i karze, o mieszanju się baśni i brutalnej rzeczywistości można wyeksponować samą w sobie,

aż do krzyku wstrząsającej katharsis.

Przedstawienie zostało (pomimo taranujących przeszkód) wygrane czysto, wyrażście. Nie ma w nim większych potknięć aktorskich. Ale dominuje tylko poprawność. Najlepiej prezentowali się: Wojciech Ziętarski (Pustelnik), Jacek Strama (Kirkor), Halina Gryglaszewska (Matka), Jerzy Nowak (Kostryn), Ryszard Jasiński (Grabiec), któremu zdaje się grozi seria ról wiejskich głupków (gra też Głupiego Macłusia w „Zaczarowanym kole”), Jacek Milczanowski (Skierka).

Balladyna Beaty Wojciechowskiej nie ma w sobie głębi tragizmu, nie ma grozy. Jest tylko mizdrząca się i rozkrzyczana, raczej pospolita cwaniana i karierowiczka, co to po trupach zdąży do celu i nawet w ostatnich chwilach nie potrafi wznieść się do poziomu posępnej wielkości.

KAZIMIERZ KANIA

Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie:
„Balladyna” Juliusza Słowackiego. Reżyseria:

Jerzy Wróblewski, scenografia. Kazimierz Wiśniak, muzyka; Lucjan Kaszycki, choreografia; Leszek Czarnota. Premiera: 28 marca 1987.